

# „Jestem jak pies wrażliwy na harmonijkę ustną” mówi Zdzisław Beksiński („Przekrój” nr 48 / 1995)

Posted on [22 października, 2024](#) by [tesinblog](#)

Malarz-wizjoner. jeden z najwybitniejszych artystów schyłku xx wieku. tworzy wyłącznie swe duchowe autoportrety.

O zakupie jego obrazu niejednen kolekcjoner daremnie marzył przez całe lata, z zapalem dyskutując o fenomenie Beksińskiego, który sławę i popularność zdobył w wieku czterdziestu paru lat. Gdy osiadł w Warszawie – od początku nie utrzymując kontaktów z tzw. środowiskiem plastycznym – mówiono o nim “Samotnik z Sanoka”.

Tam się wychował w wielkim drewnianym domu z olbrzymim ogrodem. Alejki żwirował ogrodnik, wałując też przyległy kort tenisowy. – W czasie wojny – wspomina Beksiński – na korcie pasła się nasza koza, a później wszystko zarosło łopianami i pokrzywami, bo myślałem: niech będzie dżungla! Niech silniejsze zwycięży! Kiedy się stamtąd wyprowadzaliśmy, dom już podupadł, a w zachwaszczonym ogrodzie z rozwalonym płotem była ”pijalnia wody ognistej” i miejsce uprawiania seksu przez okoliczny „element”.

Jako mały chłopiec rysował plany miasta idealnego, w stylu Mao, jakieś linie fortyfikacyjne. W szkole – „Wunderkind” od rysunków – pchany był przez matkę kolekcjonującą jego „babroły” ku literaturze i historii sztuki. On sam miał jednak własny plan: zostanie reżyserem i operatorem filmowym. Lecz zmuszony przez ojca-geodetę, rozpoczął studiowanie architektury.

– Pani pyta, dlaczego się nie zbuntowałem? To były lata 40 i dzieci – mówi artysta – były rodzicom absolutnie posłuszne. Architektury nie cierpiałem, ale do głowy mi w ogóle nie przyszło, że mógłbym się przeciwstawić ojcu, który zresztą wcale nie był surowy. Chciał, żebym jeździł na nartach, pływał w zimnej wodzie. Kiedy zmarł, postanowiłem zniewieścić i doskonale mi się to udało.

Rysunku uczył się na Politechnice Krakowskiej, ale nigdy nie otrzymał więcej niż trójkę z plusem. Na akt studenci mieli 12 godzin. On to robił w trzy kwadransy i leciał do kina. O szkole filmowej przestał marzyć po obejrzeniu kilku socrealistycznych filmów. Coraz częściej fotografował. Rysował, triumfował jako twórca reliefów, na co dzień pracując, w sanockiej wytwórni autobusów, gdzie miał kuzyna na kierowniczym stanowisku. – Gdy kuzyn stracił tę posadę, natychmiast jako jego człowiek zleciałem do malarni transparentów. Miałem żonę i syna, było mi więc wszystko jedno, co robię, byle mi forsa wpadała. A wpadały grosze. Nie kupowałem gazet. Tak, w sensie dóbr doczesnych zawsze byłem minimalistą. Kiedy przyjęto mnie do Związku Plastyków, zrezygnowałem z członkostwa w Związku Fotografików, bo nie stać mnie było na opłacanie składek w obu stowarzyszeniach i dwóch funduszy pogrzebowych.

Do 1972 bardziej wegetował, niż zarabiał, choć miał w Warszawie już kilka indywidualnych wystaw obrazów i rysunków. Aż nagle sprzedał wszystkie obrazy z ekspozycji

zorganizowanej w 1972 przez państwo Boguckich w stołecznej Galerii Współczesnej. – Byłem wtedy kompletnie bez forsy – wspomina – i mając nóż na gardle, bo na gwałt potrzebowałem gotówki, dałem na swe obrazy absurdalnie niskie ceny: 2,5 – 3 tys. złotych, podczas gdy koledzy żądali minimum 13 tys. Ustawiła się kolejka. A potem nikt już nie pytał, po ile były te obrazy, bo najważniejsze, że od razu sprzedawałem całą wystawę. Później do innej galerii dałem obrazy po 8 tys., które zaraz poszły, więc podniosłem na 12 tys., i też od razu je kupiono. Pomyślałem: jeśli obrazy idą, czemu miałbym nie podnosić ceny? Ale czasem mnie zastanawiało, skąd się bierze ten entuzjazm u P.T. Publiczności. Podejrzywałem w tym nieraz jakiś kant, ciągle pamiętając okres, kiedy malowałem obrazy, za które pies z kulawą nogą nie chciał zapłacić nic. A potem ze sprzedaniem tych samych obrazów nie miałem żadnych problemów.

Dla nikogo, kto choćby raz widział obrazy Beksińskiego, nie ulega wątpliwości, że artysta ten penetruje 2 wielkie tematy: śmierć i przemijanie a także – zagrożenie. Jak sam powiada – ani w sztuce, ani w życiu nie lubi beztrudnej, rubasznej wesołości, choć z pewnością lubi rzeczy śmieszne jak latający cyrk Monthy Pythona. W muzyce irytują go żwawe rytmy ludowe, woli larga, lenta, adagia. Kocha muzykę tragiczną, patetyczną, smutną, neurasteniczną, co, być może, jest echem obciążenia socrealizmem, który wymagał nie tylko konstruktywnego optymizmu, ale i entuzjazmu dla ludowej krzepy. – A ja jestem jak pies wrażliwy na harmonijkę ustną, czyli porusza mnie coś w miejscu powyżej żołądka, a nieco poniżej szyi. Tam gdzie znajduje się moja wrażliwość muzyczna. Pani mówi – śmierć... zagrożenia... Tymczasem ja chciałbym malować obrazy ładne. A śmiercią, mogę powiedzieć, interesuję się towarzysko. Zagrożenia? Nie podzielam powszechnego fioła atomowego. Śmierć od granatu czy od miny, która oberwie nogi, jest równie straszliwa jak od bomby atomowej. Śmierć w łóżku szpitalnym też. Najbardziej boimy się raczej śmierci własnych złudzeń.

Jego obrazy: płonące domy-katedry, postacie lub głowy pokryte skórą-pajęczyną bądź siatką żyłek, trupiostrawy. Beksińskiego zalicza się do niewielu artystów zatroskanych losem człowieka, świata, cywilizacji.

– Wiele osób nazywa moje postaci na obrazach trupami. Jakie to trupy, do diabła? – obrusza się. – Ja nie maluję trupów. Ludzie mówią: „No, ale tu jest gnijące ciało”. Gdzie jest to gnijące ciało, do cholery? To przecież tylko forma. Kształt i konstrukcja. Pewne rozdrobnienie tego kształtu czy inkrustowanie go barokową ornamentyką nie ma być wizualnym efektem rozpadu, a jeśli nawet, to ten rozpad nosi w założeniu cechy „romantycznej ruiny”. W XIX wieku było w modzie stawiać sobie ruinę w ogrodzie. Powiedzmy, że czasami ulegam tej dawnej modzie. Według mego wuja, spierałem się z nim zresztą nieustannie w młodości, Picasso, którym się wtedy entuzjasmowałem, „malował oko na dupie”, co w opinii wuja dyskwalifikowało go jako twórcę. Echo tego „oka na dupie” słychać w opiniach, zgodnie z którymi niby to maluję trupy. To jest mniej więcej ten sam poziom percepcji. Jednym z mych żelaznych tematów jest ukrzyżowanie, które ex definitione wiąże się z tematyką funebralną, ale gdzie poza tym są te „trupy”?

Dziś jego fani często pytają: – Dlaczego pan nie maluje tak jak sześć czy osiem lat temu? Gdzie te metafizyczne obrazy? Gdzie tamte pejzaże, obłoki? – Odpowiada: – Znudziło mi się. – Albo mówi: – Na razie mam za co żyć.

O ekspresję tamtych dzieł nikt jakoś nie pyta. – Sama więc pani rozumie, że w moich obrazach szukano obłoków, węży w trawie, nigdy zaś – wyjaśnia artysta – formy. Kupując moje obrazy, ludzie kupowali sobie... własne złudzenia. Nigdy nie wierzyłem, że moje

obrazy ceniono za to, za co sam mógłbym je cenić. A więc – za formę. Za pewien persyflaż. Ludziom podobało się, że zieleń jest żywa, prawdziwa, światłocień – naturalny. Przeciętnego odbiorcę to właśnie w moich obrazach pociągało.

Dziś te obrazy, o stłumionej barwie, są inne. I znów by można poszukiwać nadrzędnych znaczeń, tu dojrzawszy przetworzone ruiny, tam zaś kość. – W moich obrazach kości pozostaną. Co złego w kości? Jest ładna i ma logikę konstrukcji, która każdego powinna zafascynować. A ruiny maluję wcale nie w poczuciu straconego czasu. Ruina jest ładniejsza od nowoczesnej budowli, ma bardziej skomplikowaną fakturę. Jako urodzony leń może chęć też stworzyć wrażenie, że bardzo się napracowałem. Bo ja cenię pracę. Ale gdybym miał zrobić sweter no drutach, wolałbym popełnić samobójstwo.

Entuzjaści Beksińskiego mnożą pytania: czy jego sztuka jest wyrazem wiary, czy niewiary w świat, człowieka? W Boga? – Na pewno – powiada – nie jestem religijny. Chętnie odparłbym też, że jestem niewierzący, ale w sytuacjach stresowych – a w takich sytuacjach byłem – w człowieku pojawia się jednak potrzeba zwrócenia się ku Najwyższemu Autorytetowi. Jak trwoga, to... Coś więc nie tak jest z tą moją niewiarą, choć nie utożsamiam się z Kościołem.

Irytują go spory krytyków o “przesłanie” jego malarstwa. Nie wierzy, że poprzez obraz można coś istotnego powiedzieć. – Gdy na szerokim świeci lub całkiem pod nosem dokona się jakieś wyjątkowe draństwo, ogarnia człowieka furia, która u wielu twórców owocuje dziełami politycznymi. U mnie trwa ta furia stosunkowo krótko, przez okres nie wystarczający nawet na podmalowanie obrazu. Nie potrafię nigdzie dojrzeć ani absolutnego zła, ani absolutnego dobra. Poza tym w niewielkim stopniu umiem zaprogramować sobie to, co mam namalować. U mnie malarstwo jest stereotypem zachowania. Rano wstaję, idę po zakupy, piję kawę i zabieram się do malowania. Pani pyta o stresy, gorsze samopoczucie, przerwy w pracy. Na nic takiego nie mogę sobie pozwolić z obawy, że kiedy nagle przyjdzie olśnienie dobrym pomysłem, to ja akurat będę – bez pędzla – siedział z kimś przy piwie.

### **Paryż – kakaja głusz...**

Rok temu zerwał – trwający 11 lat – kontrakt ze swym paryskim marszandem, płacąc mu za to zresztą wysokie odszkodowanie. Podpisawszy „cyrograf” w 1984, wiedział, że, choć oznacza to zniewolenie i wiele wyrzeczeń w myśl przykazania: „Nie będziesz miał bogów cudzych przede mną”, finansowo bardzo się opłaca. Odtąd jego obrazy trafiały do zbiorów Piotra Dmochowskiego i na organizowane przez niego ekspozycje paryskie. Ani razu jednak Beksiński nie był na wernisażu.

– Byłem nawet zadowolony – przyznaje – że nie muszę w tym uczestniczyć. Boże, w życiu nie byłem w Paryżu. Dla mnie wyjazd do Grójca to już antypody, czuję się wyrzucony „poza nawias” i nie jestem pewien, czy jeszcze wrócę do Warszawy, jak facet, który wylądował na Saturnie i nie wie, czy rakieta odpali mu w odwrotnym kierunku. Paryż... Proszę pani, kakaja głusz! W Tatrach ostatni raz byłem jako dziecko.

Domu nie buduje, od lat malując w swym niewielkim mieszkaniu na warszawskim Służewcu. Jego pracownia o powierzchni 20 m kw. jest rodzajem kabiny kosmicznej albo łodzi podwodnej. – Jak pani widzi, wszystko tu jest przykręcone na amen. Zmiana czegośkolwiek to tak, jakbym komuś poradził, aby swój samochód zwęził o dwa centymetry. I niczego tu więcej nie mieszczę, bo przestrzeń zagospodarowana jest do maksimum: magazyn materiałów, płyt pilśniowych, farb, a także komputer, urządzenia elektroakustyczne i zapas

taśm i kompaktów do słuchania muzyki. Odkąd jestem „wolnym strzelcem”, żyję na luzie – już nie mam „złotej klatki”, do której mi sypano z Francji ziarno. I tu, w pracowni, gromadzę obrazy, zanoszę się więc na to, że wkrótce wypchną mnie z mieszkania. Wie pani, mnie nawet wystawy nie są do szczęścia potrzebne. Chętnie malowałbym do szuflady, byle mi się nikt nie wtrącał. Na razie żyję z oszczędności – mam 66 lat, więc ileż mi do śmierci zostało? Myślę: może już wreszcie będę szczęśliwym emerytem? I to się sprawdza! Maluję, słucham muzyki. Generalnie jestem pesymistą, który nie widzi sensu w istnieniu, ale, oczywiście, nie mogę z tą świadomością żyć na co dzień. Na co dzień uważam, że należy malować obrazy – obrazy po mnie zostaną, znajdę się w podręcznikach historii sztuki. Jest to mój hełm tekturowy... Bo nawet gdybym przetrwał przez dwieście lat, to nie przetrwam przez dwa tysiące. A świat istnieć będzie nawet przez dwa miliony lat. Cóż wobec tego warte jest przetrwanie przez 200 lat? Zatem mógłbym robić cokolwiek. Lub nie robić nic. Ale robić jest łatwiej, niż nic nie robić. Zatem robię to, co robię i umacniam się tą sztucznie wyhodowaną nadzieją.

Nie znosi niczego, co naturalne. Aby zagłuszyć ciszę, gotów był nawet kiedyś włączyć elektroluks. Lubi zupy z proszku, kawę instant. Od koncertu w filharmonii stokroć bardziej woli płytę kompaktową lub taśmę, zresztą muzyki słucha wyłącznie w czasie malowania, jakby stanowiła ona swoisty playback. I choć uważa ją za najwspanialszą ze sztuk, nie wysłucha ani jednego taktu, jeśli nie maluje.

– Ja bym to ujął jeszcze skrajniej: lubię słuchać muzyki w czasie pracy – mówi – bo samo malowanie jest w ogromnej części robotą nużącą, a nawet nudną. Człowiek musi odwalić mnóstwo problemów ściśle technologicznych, zanim dojdzie do jednego czy dwóch ruchów, które sprawią mu przyjemność. Po czym znowu następuje 8 godzin z poprzednimi problemami, a potem, być może, znów wykluje się na chwilę coś ciekawego. Więc żeby nie marnować tych wielu godzin pracy – a maluję całymi dniami – słucham muzyki, ponieważ mam wolne uszy.

### **Na motorze... koziółkowałem**

Na pamiątkę zachował prawo jazdy z młodości, gdy szalał na motocyklu Jawa-350.

– Jeździłem nieostrożnie, jak wariat – wspomina – i czasem jechałem drogą jednokierunkową pod prąd albo miałem w głowie czarne plamy – na przestrzeni 40 km nie pamiętałem, przez jakie miejscowości przejeżdżałem, bo się właśnie zamyśliłem, a leciałem z maksymalną szybkością. Często więc koziółkowałem, wypadki były moją specjalnością.

Niedawno znów oszalał, gdy w salonie „Hondy” zobaczył motocykl z przyspieszeniem 3,5 sek. do 100 km, i pomyślał: – Cholera, dlaczego takich motocykli z silnikiem jak w aucie nie było, gdy byłem młody? Teraz też bym taką maszyną pojechał, ale w wieku 66 lat mam prawo do osteoporozy i gdybym się tak wysypał... Rok temu poślizgnąłem się na lodzie przed domem i przez miesiąc musiałem chodzić o kuli.

Drugiej takiej pasji jak motor już później nie miał. Kiedyś chłonał książki i poznał całą klasykę – przestał czytać beletrystykę i zajął się ezoteryką, tajemnymi naukami Wschodu, astrologią, by w końcu skonstatować: – Coś w tym chyba jest! – Nigdy jednak nie miał czasu na historię sztuki. – Znam ją po łebkach, zaś obrazy wielkich mistrzów – śmieje się – znam przeważnie z reprodukcji zamieszczanych na okładkach płyt gramofonowych.

Malując ok. 23 obrazów rocznie, nigdy nie ma czasu. Używa oleju, chętnie sięgając też po akryl. – Maluje się nim tak, jakby się rysowało węglem, ponieważ wszystko można natychmiast zmienić: biskupa można przerobić na Matkę Boską, a Matkę Boską na lokomotywę.

I to są minuty, a czasami sekundy, nie trzeba czekać na te wszystkie przekłete procesy technologiczne powoli, z dnia na dzień następujące w oleju. Akryl schnie szybko, a ja mam nawet suszarkę do włosów i – chcąc zyskać na czasie – suszę nią obrazy. Obrazy zmieniam nieustannie. Kiedy maluję olejem, mogę mieć wersję nagle całkiem nową, ale z realizacją muszę czekać dzień czy dwa. A w akrylu to, co namalowałem o godz. 10.05, może o 10.07 wyglądać już całkiem inaczej, bo przejadę suszarką do włosów i lecę dalej.

Opinii o swym malarstwie najchętniej by nie słuchał. Pochwały i komplementy odbiera czasem jak obelgi, próby ograniczenia wolności – w takim okresie chowa nawet przed oczami rodziny wszystko, nad czym aktualnie pracuje. Mówi, że maluje, bo nudzi go płaska powierzchnia.

W życiu nie przyjął zamówienia. Gdyby tak się kiedyś stało, to – jak powiada – znów zacząłby robić rysunki. A gdyby zamówiono obraz i rysunki? – To zacząłbym rzeźbić lub kręcić filmy. Najprawdopodobniej jednak na jakiś czas przestałbym w ogóle pracować.

I nic dziwnego: wizje, jakie maluje, wymagają intymności. A maluje to, co najgłębiej ukryte – co nie ma żadnego związku z rzeczywistością. W całym malarstwie światowym nie ma bardziej poruszających obrazów na temat przemijania niż dzieła Zdzisława Beksińskiego. Jego sztuka hipnotyzuje.

Izabella Bodnar